

GALERIA
KOSZMARÓW
FERANOSA



Feranos

GALERIA
KOSZMARÓW
FERANOSA

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Jędrzej Bargłowski

Opieka wydawnicza: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadzący: Ewelina Chudzicka

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta językowa: Edyta Gadaj

Projekt okładki: front: louvey.art, reszta: Dawid Boldys

Skład i łamanie: PracowniaKsiazki.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Wydanie I, Warszawa 2023

ISBN papier: 978-83-67691-76-5

ISBN e-book: 978-83-67852-16-6

Zapraszamy księgarnie i biblioteki

do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

✉ kontakt@dlaczemu.pl

Piekło to Ty





Anita Tokarczyk @ anita__nitka

Zamknij oczy.

Rozluźnij się.

Widzisz ciemność.

Pośród odmętów nieprzeniknionego eteru dostrzegasz życie.

Czy wreszcie odnajdziesz to, czego pragniesz od tak dawna? Czy Twój głód wreszcie zniknie?

Rozpoznasz swój cel. Mkniesz w jego stronę. Teraz to jest najważniejsze.

Widzisz to, prawda?

Pod swoim ciałem czujesz chropowatą powierzchnię białych ścian. Tkwisz w górnym rogu pomieszczenia i oglądasz cel oczyma wyzierającymi spod monstrualnych odnóży.

To człowiek.

Nie śpi, leży.

Kurczowo trzyma w dłoniach tajemniczy prostokąt, oślepiający go białym blaskiem. Wpatruje się w niego i nie jest w stanie Cię dostrzec.

Bezszelestnie skradasz się w jego stronę.

Pchany intuicją, odchyła tajemnicze urządzenie i zaczyna się w Ciebie wpatrywać. Jego oślepienie światłem oczy wpijają się w Ciebie, ale nic nie widzą.

Ciemność w mroku jest niewidoczna.

Zamierasz w oczekiwaniu, aż śmiertelnik znów zatopi swój wzrok w urządzeniu. Czekasz chwilę, a następnie powoli i ostrożnie ruszasz w jego kierunku.

Śmiertelne oczy dostrzegają tylko ruch.

Zbliżasz się. Zbliżasz się ostrożnie, obserwując.

Wiesz, że Twoje przyszłe danie Cię czuje. Ale czy rozumie?

Zamierasz, a ono właśnie zaczyna omiatać wzrokiem pomieszczenie.

Już czujesz smak posiłku.

Głód zasypia. Czyżby wiedział, że niedługo zostanie zaspokojony?

Ty tak naprawdę nigdy się nie nasycisz. Ty nigdy nie ugasisz tego pragnienia.

Ofiara zerka w Twoją stronę, ale widzi jedynie czerń.

Czujesz jej strach. Czujesz jej złe przeczucia. Jest pewna, że Cię widziała.

Przez moment dostrzega najbardziej potworny obraz swojego życia. Nie może w to uwierzyć, nie chce. Wmawia sobie, że to przewidzenie, ale panika zaczyna dominować.

Nagle słyszy jakiś dźwięk ludzkiego osiedla dochodzący zza okna. Podskakuje przerażona. Gdy się uspokaja, obserwuje badawczo otoczenie. Wystarczy tylko chwila, żeby znów zatopiła swój wzrok w oślepiającym prostokącie.

Wtedy ruszasz. Rzucasz się prosto na cel, prosto na duszę, którą można zamknąć w swoim odwłoku i żywić się jej cierpieniem.

Choć na chwilę zapomnij o bólu.

Tak się zaczyna podróż przez koszmar.

Czujesz ten głód? On nigdy nie ustąpi.

Ale teraz? Teraz śpij.

Zapomnij o nim, choć na chwilę.

Dobranoc.



Joannah © joannahvonfrankenstein

Abysalny poemat

Grube krople spadają z nieba, a ja myślę, co się właściwie wydarzyło w ostatnich minutach.

A właściwie, co się wydarzyło w ostatnich godzinach, dniach. Jak moje życie – z tego zwyczajnego, prostego, choć przeplatane sztuką – zmieniło się w... to.

Właśnie, sztuką! Nawet sztuka nie jest już tą wielką sztuką, światłem bogów rzucanym na ludzki los. Teraz, w obliczu tego kosmicznego koszmaru, którego byłem – jestem – świadkiem, stała się jedynie sztuką. Po prostu... sztuką. Sztuką. I cholernym niczym więcej.

Jeszcze wczoraj byłem normalnym człowiekiem z normalnymi ludzkimi problemami, teraz jakże śmiesznymi. Przejmowałem się tym, kto, co i o kim powiedział. Żyłem pytaniami. Co sądzi o mnie moja żona? Czy uważa mnie za życiowego nedorajdę? A może tylko za pospolitego nedorajdę, nieustannie potykającego się o własne życie? Czy kiedykolwiek zostawię po sobie cokolwiek wartego uwagi, zapamiętania? Czy moja nieustanna pogoń za absolutem lub właśnie efemerycznością (a może efemerycznym absolutem?) nie była tylko kolejnym zmarnowanym życiem?

Żyłem świadomością. Świadomością tego, że nienawidzę swojej pracy, do której muszę chodzić. Świadomością, że przecież z poezji nie da się wyżyć. Świadomością tego, że może chciałbym mieć dzieci. Czy nie byłoby warto ich mieć? Ale jeśli nie robiłbym ich dla siebie, to dla kogo? Dla nich? Czy chcą, żeby je mieć? Czy one chcą być?

Zresztą, co miałbym im przekazać oprócz zgorzknienia i rozgoryczenia? Co mógłbym im dać, oprócz akceptacji losu pełnego bólu i niezrozumienia? Akceptacji tego, że życie to ból, koszmar i wieczne rozczarowanie? Najpierw pełne nadziei dzieciństwo, potem pełna poniżenia szkoła i wręcz niewolnicze dorosłe życie. A na koniec? Transgresja i translokacja depresji.

Ludzie dziedziczą smutek.

Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Jakie znaczenie ma to wszystko – moje rozważania, moje żale, nawet moja egzystencja – w porównaniu do zła, którego byłem świadkiem?

Nic nie ma już znaczenia.

Grube krople spadają z sufitu, a ja wiem, że to wszystko marność, pył. Jeśli cokolwiek miało wcześniej sens, to teraz już nic się nie liczyło, nawet życie. Potworności, które ujrzałem, zmieniły mnie do reszty, do szczytu.

Zaczęło się od wczorajszego cotygodniowego spotkania poetów i literatów w Torikonie, lokalu ukochanym przez artystów wszelkiej maści. Trochę jak filomatów i filaretów, tyle że o nas nikt nigdy nie wspomni. Tam zwróciłem uwagę na Rafała – mojego wieloletniego znajomego.

Przyszedł blady, osłabiony. Wyglądał fatalnie. Zwykle rozmowny i pełen życia, brylujący w towarzystwie. Wtedy? Wycofany i niepewny.

Zapytany o swój dziwny stan, przy ludziach tłumaczył się bólem brzucha, bezsennością i katarem. Bzdury. Wyraźnie coś ukrywał. Nie trzymał się za brzuch, nie siąpił nosem.

Dopiero kiedy złapałem go w łazience, podczas mycia rąk, zapytany w cztery oczy opowiedział niewiarygodną, zatrważającą historię.

– Piszę poemat – oznajmił pełen autentycznej grozy.

– To ma coś wspólnego z twoim wyglądem? – zapytałem z przekąsem. Trochę kpiłem, bo on zawsze pisał jakiś poemat.

– Przeczytałem takie... traktaty – dukał. – Takie... satanistyczne... – Zamilkł. Spuścił głowę. Zacisnął szczękę, a potem spojrzał wściekle w swoje odbicie w lustrze.

– *Biblię Szatana*? Tę książeczkę dla gimnazjalistów? La Veya?

– Nie, te prawdziwe. Rzekomo mają... Mają dziesięć tysięcy lat.

Chyba był zmęczony – nie tylko życiem, ale i moimi docinkami. Widziałem, że dla niego to poważna sprawa.

– Kto ci naopowiadał takich bajd? Przecież wtedy nawet nie istniało pismo! – Parsknąłem śmiechem, ale dla jego dobra. Chciałem, żeby sobie uświadomił, jak bardzo głupie i niemożliwe jest to, co mówi. Nie ma czegoś takiego jak szatańskie biblie, które mają dziesięć tysięcy lat.

– Gdybyś je zobaczył... Gdybyś ich dotknął... choć na chwilę... poczułbyś... – głos mu się załamał. – Nie powinienem być. Nie powinienem! – Złapał się za głowę. Ugięły się pod nim kolana.

Miałem wrażenie, że zaraz zacznie rwać sobie włosy, ale nie zrobił tego. Jeszcze nie.

Zacisnął pięści, zacisnął szczęki, zacisnął powieki. Trwał tak chwilę, po czym otworzył oczy i wpił we mnie swoje spojrzenie.

Było to spojrzenie człowieka, który widział śmierć na własne oczy. I nie, nie chodzi mi tutaj o umierającego człowieka. Chodzi mi o kogoś, kto zobaczył mitycznego Tanatosa.

– Dobrze, rozumiem. – Staralem się go uspokoić, pomimo ogarniającej mnie grozy. – Jak to wygląda? Diabły? Takie sprawy? Z widłami i rogami? Nie zrozum mnie źle, po prostu nie wiem.

Nie wiem, ale to nie przeszkadza mi w tym, by zacząć rozumieć. Może nie sedno sprawy, ale lęk, strach, grozę, które go ogarniają, przytłaczają.

Mój przyjaciel oszalał, a przynajmniej w to wierzę. Chcę w to wierzyć, bo przecież kto nie szaleje w tym mrocznym i zimnym świecie? Demony nie istnieją, a nawet jeśli, to do tak głębokich piekieł nie zaglądają.

Chociaż nie. Nie Rafał.

Jeszcze tydzień temu opowiadał wszystkim o tym, że dostał awans, wreszcie rozwodzi się z żoną, ma piękną dziewczynę, kupił nowy samochód i odziedziczył fortunę po wujku.

Czy kłamał? Cóż, żony nienawidził od dawna, a samochodem przyjechał. Nie mógłby się tak podłamać w tydzień. Nie mógłby. Prawda?

– Nie! Zupełnie nie! To nie czerwień! To nie siarka! – Żrenice w jego przekrwionych oczach zwięzają się, kiedy na mnie patrzy. Łapie się za włosy jakby sprawiało mu to ból. – To ocean i fuksja! Błękit i róż otchłani, niezbadane, niewyjaśnione!

Staralem się, ale nie, jednak nie rozumiałem tego szaleństwa. Co mogłem rozumieć? Gdyby to był ktoś mi nieznanym, uwierzyłbym w jego obłąd. Ba! Nie zaważałbym się w tym osądzie, ale w maniakalnych opisach Rafała było coś... coś prawdziwego, coś namacalnego. Coś, co mi umykało. I choć nie pasowało mi to do niczego, jego szaleństwo było i tak dużo łatwiej wytłumaczalne niż... niż to. Przynajmniej było to dużo bardziej uspokajające.

Jedyne, co słyszałem, to urywki wyrwane z otchłani czegoś większego, czego wtedy nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

– Piszę poemat – powtórzył, jakby ostatnie minuty nie miały miejsca, jakby zapomniał swoich słów. – Po przeczytaniu tych plugawych kart nie mogę spać. Mary zlewają się z rzeczywistością, a rzeczywistość tańczy z marami... Miriady drzwi otwierają się wszędzie, gdzie spojrzę, za każdym z wrót pojawia się zło w nowych wymiarach, nowych kolorach! I... zmusza mnie. Każe. Ja... Ja chyba marzyłem o tym od zawsze, jak każdy, jak my wszyscy tutaj, ale to... To jest... Coś... To... To każe mi napisać poemat. Skończyć go. Każdy z nas tutaj od zawsze chciał dotknąć czegoś większego, otrzeć się o świetność, napisać coś ostatecznego i ja... Ja chyba jestem narzędziem tego czegoś, ale... to mnie pożera od środka. To mnie chyba karze za to, że nie piszę. Albo właśnie, za to, że piszę? Sam już nie wiem.

Kiedy mówił, stawał się coraz bardziej i bardziej apatyczny, a jego wzrok coraz bardziej i bardziej mętny, odrealniony.

Patrzyłem na niego z mieszanką współczucia i trwogi.